

pana, zaczepiającego młodą dziewczynę, przystanęło, ciesząc się z tej sceny.

Wtedy milczący dotychczas towarzysz kapitana pociągnął go za rękaw:

— Niech hrabia nie nalega... wplączemy się w awanturę z policyjantem... przegrał pan zakład i nic się nie stało!... Tem lepiej dla pana — dodał pocichu, jakby mówił do siebie.

Kapitan jednak odparł nerwowo:

— Czy żartujesz, Otto?... Wiesz dobrze, że nie było jeszcze przykładu, by hrabia Fraskopelly przegrał zakład... ta panna nie powiedziała jeszcze swego ostatniego słowa!... Musimy ją śledzić, by dowiedzieć się przedewszystkiem, kto ona jest... A przytem, co jest dla mnie lepiej lub gorzej, to tylko ja wiem, a ciebie nie powinno to interesować...

— Mój drogi, błagam cię...

Przejeżdżała dorożka. Kapitan, nie odpowiadając przyjacielowi, zatrzymał ją. Potem dał rozkaz woźnicy, by zdaleka jechał za tą blondynką, która oddała się szybko, nie troszcząc się nawet, co się za nią dzieje.

— Jeżeli będziemy musieli rozejść się, by ją śledzić, to ty, Otto, zostaniesz w dorożce, a ja pójdę i potem spotkamy się za Operą...

W następnym tygodniu nikt nie omieszkiał przyjść na rendez-vous, które kapitan nazначzył swym gościom. Oczekiwano dnia tego z niecierpliwością i ciekawością, a każdy pragnął po wytrzeźwieniu, by ten wesół chłopiec nie zламаł sobie życia przez głupi zakład.

To też gdy przy deserze kapitan podniósł się i prosił o ciszę, wszystkie rozmowy od razu ustały.

— Panie i panowie — rzekł — młoda panna, którą wkrótce poprowadzę do ślubu w tym pięknym kraju, gdzie jeszcze na pewien czas jestem gościem, nazywa się Żaneta Levasseur... jest hafciarką, sierotą i uczciwą... liczy dwadzieścia jeden wiosen i mieszka na Menilmontant, ulica Chemin-Vert, nr. 34... Przyjaciel mój Otto potwierdzi, że jest tak blondynką, jak i piękną, godną tych pasterek, które zasiadały na tronie...

Oświadczenie to rozproszyło niepokój, jaki ciążył na wszystkich gościach od początku obiadu.

— All right, my dear! — zawołała Sminta de Fradesy, udając Angielkę, chociaż była Hiszpanką.

Kapitan mówił dalej:

— Spodziewałem się, że dzisiaj wieczorem będę mógł przedstawić wam moją narzeczoną... na nieszczęście sprawa nie postępuje tak szybko, jakbym tego pragnął... i muszę wyznać, że jeszcze na razie panna Żaneta Levasseur nie chce zostać hrabiną Fraskopelly...

— Wymagające dziecko! — odezwiała się Róża Tremiere.

— Mój drogi hrabio — rzekł wtedy Reginald Farweth — przegrał pan w takim razie zakład... niech pan zapomni tę małą, kiedy pana nie chce... niech mi pan wierzy, że to będzie najroztropniejsze...

Oficer zwrócił się do Amerykanina.

— Zbyt krótko jest pan w Paryżu, by pan mógł mnie dobrze znać... w przeciwnym bowiem razie wiedziałby pan, że ja się przed niczem nie cofam... czyż sądzi pan, że należy wstrzymać się wobec takich trudności?... zdanie podobnych dziewcząt nie ma znaczenia... nie zwraca się na nie uwagi... dzięki Bogu, dodał ze złośliwym uśmiechem, mamy dosyć środków, by złamać ten upór!...

— Jakież one są? — zapytał obojętnie Reginald Farweth.

— Proszę Państwa, ponieważ nasz przyjaciel zdaje się wątpić w to, co ja mówię, więc zaraz dam dowód...

Wyjął z kieszeni zegarek:

— Jest obecnie pół do jedenastej... w chwili tej panna Żaneta Levasseur oddaje robotę na drugim końcu Paryża, jednej z mych znajomych, która postara się zatrzymać ją u siebie do północy... wtedy ulice będą już puste... w powrotnej drodze niedaleko jej mieszkania będą czekali opłaceni przezemnie ludzie... samochód mój już tam jest gotowy...

Zuzanna Dervanne klasnęła w ręce:

— Porwanie!

— Przekonywa się więc pan, drogi przyjacielu,

dodał hrabia, zwracając się do stojącego spokojnie Amerykanina, że nie jest tak trudno zdobyć to, czego się pragnie...

Potem, biorąc ze stołu kieliszek szampana, podniósł go do góry:

— Moi przyjaciele, proponuję toast za zdrowie panny Żanety Levasseur, mojej narzeczonej...

Wszyscy powstali z napełnionymi kieliszkami. Trącano się szumnie przez stół wśród ogólnej weselości.

— Wiwat! — zawołał książę Visconti.

— Wiwat! Hip! Hip! Hurra! — powtórzyli wszyscy współbiesiadnicy.

Lecz w chwili tej nagle zgasła elektryczność. Pokój pograżył się w ciemnościach.

— Ach! — zawołał Otto de Schlakemburg — także odpowiednia chwila... cóż to za kiepski dowcip!

— To krótkie spięcie! — wytłumaczył Vaintrailles.

Donośny głos pułkownika Poziabeneff zagłuszył ogólny hałas:

— Panowie... Panowie...



Zebrani ujrzeni przed sobą przerażający widok.

Nie miał czasu mówić. Rozległy się dwa strzały rewolwerowe, przecinając ciemności błyskami ognia.

Zerwały się krzyki... powstał tumult... przewracano krzesła... tłukły się kieliszki... Kobiety mdlały... Panowie szukali drzwi...

Trwało to minutę. Potem nagle zajaśniała elektryczność. Zebrani ujrzeni przed sobą przerażający widok.

Na stole, przechylony naprzód, leżał kapitan Fraskopelly. Z ran płynęła obficie krew, znacząc się na obrusie wielkimi, czerwonymi plamami. Koło niego leżał rewolwer.

Pospieszono do attaché, podniesiono go, był już martwy...

Dramat ten wywołał nazajutrz w opinii publicznej silne wrażenie. Sądono ogólnie, że kapitan popełnił samobójstwo. W tym niezwykłym zakładzie widziano tylko zręczny i elegancki sposób skrycia istotnych pobudek śmierci. Przypomniano sobie niedawne odwołanie młodego attaché. Łatwo to wszystko można było połączyć z jakąś sprawą przeciwobyczajową lub skandalem miłosnym. Wszystkie te jednak fantastyczne hipotezy zburzył raport lekarza. Kształt ran w czasie wskazywał na to, iż oficer został zamordowany. Lecz przez kogo? Wszyscy obecni na tym rozgłośnym obiedzie nie podlegali

najmniejszym podejrzeniom. Utrzymywali zresztą z nieszczęśliwym kapitanem serdeczne stosunki. Żadnej miłosnej rywalizacji nie było między nimi. Wszyscy żywili dla niego szczerą sympatią. Jednym słowem w nikim z obecnych nie można było dopatrzeć się jakiegokolwiek pobudki do tego zabójstwa. Ponieważ w czasie zbrodni w pokoju nie było nikogo ze służby, przypuszczacoby należało, że ktoś obcy tam się wślizgnął. Lecz jeżeli on wszedł, gdy światło elektryczne jaśniało, wtedy widziano go, jeżeli zaś wszedł, gdy było ciemno, zdradziłoby go światło z korytarza przy otwieraniu drzwi.

Należało więc przyznać, że strzały zostały dane przez kogoś z obecnych. Z której strony?

Zdziwienie i ogólne wzruszenie nie pozwoliły tego zauważyć, nikt też nie mógł dać co do tego odpowiedniej wskazówki. Broń znaleziona przy zwłokach nie dowodziła niczego. Był to kieszonkowy rewolwer dość znacznego kalibru, sprowadzony wprost z Ameryki, jak na to wskazywała wyryta firma: Stevenson's, New-York. 12.234.

Czyż z tego można było wnioskować, że należał on do Reginalda Farwetha, jedyne Amerykanina wśród obecnych? Naiwnem byłoby tak utrzymywać. Zresztą wielu z nich było w Ameryce. Książę Visconti był sekretarzem ambasady. Książę Vaintrailles tam się ożenił. Sminta de Fradesy podróżowała niedawno po Ameryce. A Róża Tremiere odbyła tam tournée artystyczne w zeszłym roku.

Podobny rewolwer z marką amerykańską można było nabyć i w Paryżu. Numer zaś wyryty na lufie nie dawał żadnych wyjaśnień, bo chociażby i było zapisane w fabryce nazwisko kupującego, to rewolwer ten mógł już się znajdować w dziesiątych rękach. Przytem zabójca kapitana musiał być zbyt roztropny, by używać rewolweru, o którym wiadano, że jest jego własnością.

Dyrektor policyi upatrywał pewną łączność w ucieczce baronowej z zabójstwem kapitana. Może piękna Rosyanka miała w tem swój ukryty cel, by zgładzić niebezpiecznego współnika lub groźnego świadka? Rewizya w mieszkaniu u attaché bez wątpienia wykryłaby wiele szczegółów, ze względu jednak na prawa międzynarodowe, które nakazują uważać mieszkania członków misji dyplomatycznej za nieetykalne, nie można było tego uczynić.

W tych warunkach było zupełnie naturalne, że Lapipe, który znał już sprawę w hotelu pod „Nadzieją“ i przeprowadził akcję maskaradową na balu ambasady chińskiej, miał poleconą do zbadania i tę aferę. Inspektor nie mógł darować sobie, że nie schwytał ani domina, ani mandaryna, a gniew jego wzmógł się jeszcze, gdy po powrocie do domu znalazł w kopercie zamiast pieniędzy skrawki papieru. W istocie więc zakpiono z niego!

Jest więc w Paryżu człowiek, który nietylko wymyka mu się z rąk, ale nawet drwi sobie z niego. Myśl

ta wyprowadzała go z cierpliwości. Może to Newton urządził mu takie kawały? Lecz przecież już wyjechał! Inspektor przysięgał sobie, że dotąd nie spocznie, dopóki nie pochwyci zabójcy kapitana.

Jaka była pobudka zbrodni i kto strzelał? na te dwa pytania należało znaleźć odpowiedź. Z głową opartą na rękach spędzał Lapipe długie godziny nad papierem, na którym miał naznaczone miejsca obecnych, guziki od przewodów elektrycznych i kierunek, w jakim szły strzały. Pomimo mozolnych rozmyślań nie mógł w żaden sposób dojść do tego, kto zdołał i w jaki sposób zagasić światło, strzelać do kapitana i znowu odkręcić niepostrzeżenie elektryczność. Brał pod uwagę każdą osobę po kolei, nikt jednak nie mógł z taką szybkością dokonać tych trzech rzeczy.

To tylko było pewne, że nieszczęśliwy Fraskopelly został zabity z pewnej odległości, gdyż na włosach nie miał żadnego śladu spalenizny od prochu.

Jeżeli ten nieznaną trafił po ciemku z kilkumetrowej odległości, musiał się odznaczać niezwykłą celnością i wielkim zasobem zimnej krwi.

(Ciąg dalszy nastąpi).